TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 30. *Chicago, Ills., 20 Stycznia, 1887 r.* **Rok III.**

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Hruzda nigdy nie był od tego, splunął skłaniając głowę. Nieznajomy rachując może na to, iż wódka gębę otwiera, przepił raz i drugi do gospodarza... Siedli zajadając chlebem z solą, do którego główka też czosnku się znalazła. Hruzda nie był człowiekiem bardzo bystrym, przecież dziwnie go ten po latach dziewięciu znowu zjawiający się gość niepokoił. Jął mu się więc przypatrywać bardzo uważnie, domyślając, że może nie był tym, za którego chciał uchodzić. Spojrzał na ręce: opalone były czarne, nie pańskie, ale też nie zapracowane jak chłopskie. Znać człek ten albo wojskowo, albo koło pola służył i pracował lub drugich dozorował. Do tego też najpodobniejszym był. Twarz miał ponurą, wyraz jej teraz jeszcze surowszym wiek uczynił... Brwi narosły mu nad oczami. Na czole od upałów snać, póki kapelusz zakrywał, skóra była bielsza, niżej opalona, i od wiatru aż stwardniała. Odzież na nim pożądna a nie wykwintna... dostatnia była a nie wyszukana. Płaszcz z grubego sukna, buty kozłowe, pas

skórzany... Wyglądał na włodarza, albo rządcę lub kalwakatora... Mowa też zdradzała obyczaj dworski...

— Coś wasza baba nie powraca! — rzekł gość — napijmy się no raz jeszcze na tę słotę... Napili się.

— Mówcie mi o chłopcu — dodał nieznajomy — wyście go nie lubili, jako sami przyznajecie, rychlej się od was prawdy dowiem. Zkądże mu ta buta rosła, kiedy wiedział, że jest chłopskiem dzieckiem a sierotą?

— A kat go wie — rzucił Hruzda... jam mu rogów przycierał a nic nie pomagało... Baba go psuła, jakby jedynaka... Jeśli kto winien, to ona... Myśmy też już po dwóch, trzech leciech nawykli go byli za swego uważać, boście się ani nie zgłaszali, aniście parę puścili.

— Bom nie mógł — mówił szlachcic — na trzeci dzień po zostawieniu go u was spotkała mnie bieda.

— Osobliwsza rzecz — wtrącił Hruzda — i właśnie w kilka dni potem, gdy jego nie stało... wyście się do nas zjawili?

Szlachcic ręką po stole uderzył.

— A co ja temu winien! Mało się to rzeczy tak składa!.. Człowiek losem nie panuje, a losy jemu... Jakem tylko się uwolnił przybiegłem...

Drzwi chaty otworzyły się, i Hruzdzina fartuchem okryta weszła. Otrzęsła się z deszczu.

— Niech będzie pochwalony...

— Cóż to matko? nie poznaliście mnie? — spytał wstając podróżny. — Jam ci to waszego Janka ojciec przybrany.

Baba stanęła wryta i ręce załamała...

— Po dziewięciu leciech pierwszy raz... przyszliście się dowiadywać dopiero o niego. W porę... zawołała — a toż go nie ma...

— Wiem już wszystko, i to także, że wy wiedzieć macie, gdzie się obraca...

— Na twarzy starej kobiety widać było jakby chwilkę wachania się i niepewności, zdawało się, że nie wie, co odpowiedzieć lepiej, że rachuje, czy dla chłopca szczęśliwiej będzie dostać się do tego opiekuna, czy zostać tam gdzie był. Wpatrywała się w twarz przybysza i walczyła z przywiązaniem do dziecka.

Wygląda niezbyt dostatnio — mówiła w duchu — niewielkie szczęście mu dać może, a sam mówił że to dziecko cudze i że je wziął tylko z litości. Zaprzęże do pracy, odciągnie gdzie daleko... poprowadzi za świat..

Pomyśliwszy tak chwilę odparła smutnie.

— A! gdybym ja też wiedziała doprawdy, co się z nim stało! gdyby! ale zkąd, jak ja o tem wiedzieć mogę? Dziecko ze strachu porwawszy się uciekło... kto wie, gdzie go teraz szukać?

— Jakże się wam zdaje? — niedowierzająco zapytał gość.

— Albo ja wiem! Pana Boga tylko proszę, żeby go od nieszczęścia ochronił; nie wiem nic, doprawdy... Toćbym się z tem przed swoim i przed wami nie kryła, bo wiem, że mu źle nie życzycie...

Gość się zadumał... Zwolna zaczął sprzączki pod opończą rozpinać, wysunął trzos na stół i położywszy go przed sobą, niby się rozmyślał, czy go otworzyć. Baba i Hruzda spojrzeli po sobie. Obojgu jakoś przypomniało się, że gdyby za lat ośm zaległość obliczyć i zboże dorachować, pięknegoby grosza dostali, o jaki w chacie włościańskiej trudno; a jakże się o to upominać, kiedy chłopca nie było.

— Gdybym wiedział, gdzie Janka szukać — przebąknął przybyły — tobym gotów wam dług zapłacić, choć mi to ciężko.. Miałem i ja biedy dosyć, a co innego po kilka talarów w rok zbyć, niżeli razem taką sumnę oddać... Alebym się zmógł... co robić, co się rzekło, dotrzymać trzeba tylko mi chłopca dajcie.

Hruzda spojrzał na żonę; ruszyła ramionami baba i fartuchem mokrym niesuchą twarz jakby zakłopotana otarła.

— Zkąd że go wziąść! — odpowiedziała pocichu...

— Ej! babo jakaś uparta! — krzyknął mąż — co ty tak udajesz, a myślisz, że świat zwiedziesz! Ja cię na wylot znam, ty wiesz pewnie, gdzie jest...

— Ale nie wiem! — ofuknęła Hruzdzina.

Zaklinajże się na Boga — dorzucił mąż...

Kobieta zczerwieniła się z gniewu i porwała na męża.

— Co to ty będziesz do przysięgi pozywał? — odparla głosem wrzaskliwym — alboś to ty sędzia, albo ksiądz? albom to ja wiary niegodna, kiedy mówię, że nie wiem...

Nieznajomy brzęknął trzosem zwolna zsuwając go na kolana...

— Niedoczekanie twoje, kusicielu ty jakiś — w duchu szepnęła sobie Hruzdzina — żebym ja ci za pieniądze dziecko sprzedała...

Odwróciła się gniewna, strzepnęła odmokłą odzież i poszła zagniewana do alkierza; dwaj mężczyźni pozostali sami, patrząc na siebie ze zwątpieniem.

— Dajcie pokój — szepnął w ucho przybyszowi — ona już teraz nie powie nic, ale ja z niej dobędę powoli... jeźli co jest... przyjedźcie później do mnie. Zawahał się trochę szlachcic, dobył trzosa i nie mówiąc słowa rozpiął go wysypał talarów kupy, wybrał białych pięćdziesiąt, co było nie małą sumą na te czasy, ułożył je dziesiątkami i posunął Hruzdzie.

— Naści — rzekł — nie chcę krzywdy waszej, lepiej niech się mnie dzieje krzywda. Płacę... bywaj zdrów.

To mówiąc trzosem się opasał pod opończą, kiwnął głową i szedł do drzwi. Hruzda ledwie oczom wierząc odprowadzał go do sieni zdjąwszy czapkę. W sieni szlachcic mu szepnął tylko:

— We czwartek będę w gospodzie, dowiedz się od żony, gdzie ona go podziała.

— Na tem się skończyło, siadł na wózek i ruszył... Hruzda wrócił, i oboje ze starą stanęli nad stołem patrząc na te talary, które jeszcze dotykając ich za swoje nie mieli. Połykał je oczyma Hruzda... ale gdy już ręką sięgał, aby zbierać wstrzymała go kobieta...

— Ani mi je rusz! — zawołała — ani ty mi ich tykaj! Za chleb odpracował chłopiec, nam się nie należy nic, Pan Bóg by cię skarał, gdybyś szeląg z nich wziął. Nie pozwolę. Piorun chatę spali, grad zboże wybije... Cudzego nie bierz!

— Co, ty oszalałaś? — ofuknął Hruzda.

— Rachuj się z sumieniem — zawołała kobieta... — zapytaj księdza... Ja wiem, że pieniędzy tych nie chcę, niech będą dla chło ca... my do nich prawa nie mamy...

Hruzda, którego widok tego skarbu roznamiętnił, począł się kłócić, wkrótce jednak wątpliwość jakaś zrodziła się w jego umyśle... zwolniał, zadumał się... i choć kwaśny dozwolił babie w szmatkę zawiązane talary schować podpatrzywszy tylko, gdzie je skryła... Nie chciał się już z nią kłócić, ażeby nie utrudnić dobycią z niej wiadomości o głupim Janku.

Ksiądz kanonik Hodowski siedział w bawialnym pokoju w krześle, a przed nim w progu stalo chłopię ciekawemi oczyma latając po kątach, zdumione, przestraszone nieco... a nadewszystko pociągnięte widokiem tylu rzeczy o których dotąd wyobrażenia nie miało.

— Jakże cię nazywano, moje dziecko? — odchrząknąwszy i przybierając postawę poważną odezwał się profesor — jak cię nazywano?

— Mnie, na wsi, proszę księdza dobrodzieja, nazywali głupim Jankiem.

— Jakto, głupim? — rozśmiał się z naiwności profesor... — dlaczegóż głupim?

— Musi być dla tego, że oni głupsi jeszcze byli odemnie — ozwał się Janek.

— A to, jak Chrystusa Pana kocham, odpowiedź doskonała! doskonała! — rozśmiał się kanonik... i podszedłszy pogłaskał go pod brodę...

— Któż twój ojciec, kto matka? mów śmiało...

— Ojca i matki nie znałem — westchnął chłopak — moja przybrana poczciwa, co mnie wychowała, mówiła mi, że jakiś szlachcic oddał im dzieckiem na wychowanie...

— A ty tego nie pamiętasz?

— Bardzo mało... jakby przez sen! — rzekł chłopak topiąc oczy w ziemię.

— Cóż ci się przypomina?

— Ja nie wiem, może tylko... ot tak... dziecinne jakieś bajki chodzą po głowie.

— Ale przecież? jakie?

— Nie pamiętam nic... nic... tylko bardzo piękną czerwoną ze złotem sukienkę, w którą mnie stroili... i żem płakał, gdy mnie w grube sukno przebrano... Sługa jakiś pochwycił mnie, usta mi zatulił i powiózł... Potem tylko wiem, że mi w tej chacie u starej mojej dobrej matki dobrze było...

Kanonik ręce założywszy w tył, chodził długo zamyślony po pokoju... spojrzał na chłopca i westchnął.

— To ci się w istocie ta czerwona sukienka chyba przyśnić musiała — rzekł po na myśle — wybić to sobie potrzeba z głowy... ale moje dziecko... teraz, gdyś już tu raz jest, gdzie się ludzie uczą, przez naukę możesz dojść do tego, co ci się marzyło we snach... ba! nawet do purpury! Bywały tego przykłady... przynajmniej w stanie duchownym niejednego purpurą

liczymy, który gęsi pasał za młodu... A do nauki ochotę masz? — spytał.

— A księzę dobrodzieju! — zawołał chłopiec, któremu się oczy zaiskrzyły...

— Ksiądz się rozśmiał.

— Umieszże co? Klecha cię uczył przecie?

— Troszeczkę — westchnął chłopiec — ale proszę dobrodzieja, kiedyż się tam było uczyć! Trzeba było od rana do nocy poźniej się wysługiwać... wołom zadać paszę, często i ziela dla krowy się postarać, pług narządzić, kosę naostrzyć, z sierpem isć, z broną, a choćby z rękami na pole... bo stary Hruzda popróżnować nie dawał. Więc chyba matka czasem pomogła, żem chwilę odkradłszy zbiegł do szkoły, do klechy, albo przy ogarsku za książkę mógł wziąć...

— Czytaszże? — spytał kanonik...

— Jako tako...

— A piszesz?

— Nic do rzeczy, proszę ojca — rzekł Janek — bo czasem i sam tego, co napiszę, przeczytać nie mogę.

Profesor się śmiał, aż się za boki trzymał.

— No, nic, nic, byle pilność, to się to naprawi — odezwał się — jakoś to będzie. Ja cię sam uczyć muszę, bo jak na płatnego albo z łaski bakałarza byś poszedł, ten cię nic nie nauczy... Na górze masz izdebkę niczego... Maciejowa, jak nie będziesz krnąbrny, nie poskąpi dla ciała obroku... odzienia się postaramy przystojnego... Czasu będziesz miał dosyć. Tylko mi nie leż, nie nygusować... nie zbijać bąków, nie łotrować po ulicach... Fałdów przysiedzieć... a potem do szkoły... i jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz... Ot co...

To mówiąc profesor, któremu chłopiec z żywemi oczyma wyraźnie się podobał, wziął go za głowę i pocałował...

Do kościoła codzień idź, pana Boga proś... starszych słuchaj... pokorny bądź... boś to tam pono zbroił coś już, co dowodzi, że tej cnoty ci braknie... Hę? od rózeg uciekłeś? prawda?

— Prawda, proszę jegomości, ale kiedy mi się te rózgi nie należały, a no prędzej paniczowi...

— O! o! o! — zawołał kanonik — jakże to było? jak to było.

— Chciał na mnie siąść, jak na konia i jeździć, i chamem przezywał i palnął... tom mu oddał. Ja go przecie nie zaczepiałem...

— Ależ to panicz był! — śmiejąc się rzekł łagodnie kanonik... — co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi... hę? nie rozumiesz! później ci to się w życiu wytłumaczy... Idź no... idź.. Elementarz weź... jutro... rano, gdy wstanę, egzamen... a dalej zobaczymy...

Chłopiec w rękę pocałowawszy kanonika wysunął się... i już miał na górę iść, gdy go Maciejowa po drodze złapała i do kuchenki wciągnęła.

Stara miała minę kwaśną i srogą, wzięła chłopca pod okno, aby mu się przypatrzyć naprzód... pokiwała głową, utarła nos i poczęła mruczeć...

— Wiesz co masz robić? — spytała...

— Uczyć się odparł Janek...

— A tak! a tak! uczyć się! a to myślisz że cię tu darmo uczyć będą, i że chleb księdza kanonika będziesz jadł nie pracując? hę? Zrana wstawszy kuchnią mi zamieciesz i drewek przyniesiesz i wody. Ja stara... nie poderwiesz się przecie... Po obiedzie trzeba na wieczór wody znów przynieść, a czasami drewek. Jak się trafi na miasto posyłka.. nogi za pas... Rozumiesz!

Janek się trochę poskrobał po głowie.

— Ksiądz kanonik mi nic o tem nie mówił.

— A ja ci powiadam... ja — dodała Maciejowa — kanonikowi do tego nic, to moja rzecz... Było już tu przed tobą dosyć takich pauprów, wszyscy się wysługiwać musieli...

— Jam ci do roboty przywykł — rzekł Janek przypominając sobie zaleconą pokorę — mnie to nie będzie ciężko...

Obejrzał się po kuchence... jakoś w niej było niezamieciono i w wiaderku wody mało; spytał więc o miotłę i żywo wziął się do roboty, Maciejowa stała, patrzała, w końcu dobyła chleba z szafy i posmarowawszy masłem dała chłopcu, który ją w rękę pocałował. Nie powiedziała wprawdzie nic, ale pomyślała staruszka:

— Takiego poczciwego chłopca jeszcze u nas nie było, żeby go tylko żaki nie popsuły!! Bo to, to miejskie tałatajstwo, choć dziś na szubienicę!

Był to jakoś targowy dzień, i pani Maciejowa właśnie się wybierała z koszykiem na miasto, gdy u drzwi w progu, wiejska kobieta z węzełkiem na plecach, porządnie odziana, przywitała ją zwykłem naszem:

— Niech będzie pochwalony!

Po odpowiedzi trochę zadychana wschodami, wieśniaczka podniosła głowę i popatrzywszy dokoła, zapytała nieśmiało. — Przepraszam jejmość, niech się pani nie gniewa, czy tu mieszka ks. Hodowski?

— Ks. Kanonik profesor Hodowski poprawiła Maciejowa — no tak! toć przecie kamienica nasza, a co ci do niego?

— A, przepraszam jejmość dodała stara — mnie to do niego nic, ale... tu... ja... bo to... Tu jest chłopiec Janek...

— Jaki chłopiec? gdzie? co za Janek? po co wam do niego? — poczęła Maciejowa...

— Jakto? nie ma go tu? — rzekła przestraszona wieśniaczka.

— A cóż ci do niego?

— Toć to ja go wyniańczyłam i wychowałam od maleństwa — cicho poczęła przybyła.

Maciejowa, której z Jankiem było dobrze, ulękła się, żeby go jej nie odebrano...

(Dalszy ciąg nastąpi).



TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZEŚCIANIN, ŻYD I TUREK

— CZYLI —

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENŻE OJCOWSKIE STARANIE.

Powieść nader powabna i pouczająca.

— PRZEZ —

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Schadzka w domu szynkowym.

W ubogiej izbie domku jednego w miasteczku Zamborszt stał czerstwy, piękny młodzieniec, mający tłomok na plecach i wielki kij w ręku. Był to jedynak syn ubogiej familii, która w tym domku mieszkała, i było mu imię Ludwik. Ojciec jego wyuczył go ślósarstwa. Ludwik zabierał się właśnie na wędrówkę, bo ojciec, matka i on sam byli tego zdania, iż młodemu rzemieślnikowi koniecznie potrzeba, aby się, jak to mówią, obeznał z światem, nauczył się korzystać z dobrych przykładów i nabierał co raz większych wiadomości w swoim zawodzie, nie chcąc być partaczem i ladajakim członkiem społeczeństwa ludzkiego.

Niedaleko pieca siedział ojciec stary na stołku w wielkiem zadumieniu. Matka wyszła właśnie do kuchni po zawiniątko, gdzie było cokolwiek żywności na drogę, już dawniej przyszykowanej, jak to za zwyczaj każda matka troskliwa czyni, a zwłaszcza, gdy się dziecię w daleką wybiera podróż.

Powróciwszy do izby, oddała synowi zawinięcie i wzruszonym rzekła do niego głosem:

— Oto wszystko, kochany synu co ci dać mogę; lecz miej tylko ufność w Bogu, a On cię nie opuści, i zawsze dobrze będzie ci się powodziło. I w dalekim świecie znajdziesz dobrych i cnotliwych ludzi; unikaj tylko złego i dai silny opór wszelkiej pokusie do grzechu; iż Bóg jest na każdem miejscu, niech ci to zawsze będzie na myśli, gdy czartowskie ujrzysz sidła; obyś był, błagam cię synu mój, zawsze tak dobrym i pobożnym, jakim byłeś dotąd; szanuj bliźniego słowem i uczynkiem, a Twórca Najwyższy będzie ci błogosławił i szczęścił. O, co za radość, co za ukontentowanie będzie dla nas mój synu, gdy za kilka lat powrócisz do nas zdrów i szczęśliwy, i gdy się przekonamy, żeś nabrał i wiadomości większych i doświadczenia lepszego i pozostał wiernym wierze i moralności. Wtedy już nie ojciec, lecz ty będziesz prowadził rzemiosło i dom, weźmiesz sobie jakie poczciwe i pracowite dziewczę za żonę, a my starzy w modłach naszych będziemy błagali Najwyższego, aby tobie i familii twojej błogosławił, iżbyśmy ujrzeli cię tu szczęśliwego i wspólnie się z tobą aż do śmierci naszej cieszyli. Boże dobry! Cóżem uczyniła, jakżem się zapomniała; nie powinnam była już wspominać o powrocie twoim, boć dopiero idziesz we świat; — i łzy rzewne puściły się jej z oczu, które gdy otarła fartuchem, przystąpiła do męża, wzięła go za rękę i rzekła:

— Synu! niech ci nigdy nie wychodzi z pamięci, ile ta ręka dla ciebie czyniła, która od rana do wieczora pracowała jedynie na to, aby cię uszczęśliwić i na dobrego wykierować człowieka. Bóg dobrotliwy pobłogosławił staranności ojca, jego mozołom i pracom. Oto jesteś zdrów i masz zdrowe członki, znasz dobrze twoje rzemiosło, a i nauczyciele twoi usiłowali, iżby oświecili rozum twój i zagrzali serce twoje miłością Boga i bliźniego, tak dalece, abyś w każdem położeniu umiał być spokojnym i nigdy nie zboczył z drogi cnoty i prawdy. Wiesz przecie dobrze, iż życie ludzkie częstym podlega zmianom, i że ten tylko szczęśliwym nazywać się może, który stoi jako opoka i nie chwieje, gdy burza i nawalność światowa nań bije; który wprawdzie z skromnością i rozumem używa szczęścia i pomyślności, ale też za to nie lęka się i nie rozpacza, gdy go przyciśnie smutek lub nieszczęście.

Przy tych słowach matka się zatrzymała, po chwili zaś rzekła:

— Ojcze, daj błogosławieństwo synowi twemu, i dozwól, aby pod zasłoną Boga szedł w drogę!

Ludwik rzucił się ojcu do nóg, prosił ze łzami o błogosławieństwo, które gdy mu ojciec w czułych i treściwych udzielił wyrazach, podniósł się znowu na nogi, podziękował serdecznie, ucałował i uściskał ojca i matkę, i z sercem rozczulonem opuścił dom rodzicielski.

Dopiero gdy był daleko za miastem, przestał lać łzy czułości synowskiej, dopiero stał się panem swych uczuć. Westchnął głęboko i szczerze przedsięwziął, nigdy nie zbaczać z drogi prawdy i cnoty, owszem zawsze trzymać się Boga i przykazań Jego, iżby nie zawiódł rodziców i nie zasmucił ich złem i niegodziwem sprawowaniem się w drodze i u obcych ludzi.

Ludwik był mocnej duszy, zdrowego i silnego ciała. W szkole uczył się dobrze, był uważny i troskliwy o to, aby nauki wykładane pojął i na zawsze spamiętał; przeto odznaczał się od swych współuczniów uwagą, pilnością nadzwyczajną, i bystrością swego rozumu, a przedewszystkiem miłem, grzecznem i w każdym względzie naśladowania godnem postępowaniem. Nauczyciele lubili go mocno i wielkie w nim pokładali nadzieje. Gdy dorósł, jakże się cieszyli, przekonywając się iż ich ciężkie, tak często u ludzi nieuznawane i nieodwdzięczane prace i usiłowania, nie były nadaremne; iż towarzystwo ludzkie znalazło w nim użytecznego i cnotliwego człowieka. Ludwik lubił sprawiedliwość, nigdy nie patrzał obojętnem okiem na krzywdę wyrządzoną swemu bliźniemu. Będąc jeszcze chłopcem, ujmował się za skrzywdzonymi i prześladowanymi, broniąc ich do ostatniego. Tylu ozdobiony cnotami, bez których nikt prawdziwie dobrym i szczęśliwym być nie może, puścił się Ludwik w świat, szedł sobie spokojnie, często pomyślał o domu, o swych ukochanych rodzicach, z smutkiem i radością.

Przy schyłku dnia wszedł do szynkowni, która była na trakcie. Tu znalazł dużo wesołych gości. Ludwik pochwaliwszy Boga i pozdrowiwszy wszystkich, usiadł sobie na osobnem miejscu. Zdawało się, iż nikt na niego nie zwrócił uwagi. Goście śpiewali wesoło, i wypróżniali dość często świeżo napełnione szklanice. Pomiędzy nimi był jeden, który się nadzwyczajną odznaczał wesołością, i zdawało się, jakoby całą dowodził kompanią, śpiewał najgłośniej, żartował najwięcej i najpierw wypróżniał szklanicę. Podczas gdy wrzask i hałas już prawie do najwyższego dochodził stopnia, otworzyły się drzwi, i wszedł pewien młody, nędzny i blady człowiek do izby, mający tłomok na plecach i kij wędrowny w ręku. Bojaźliwem spoglądał okiem na wszystkie strony, aż nareszcie spostrzegł próżne miejsce przy stole, poszedł tam i usiadł, złożywszy z siebie tłomok i postawiwszy kij obok siebie, a oczyma zdawało się, iż szukał gospodarza. Gdy ten człowiek wchodził do szynkowni, wszystkich oczy zwróciły się ku niemu, hulacze zmierzyli go zaraz oczyma od stóp do głowy, wstrzymali się na moment od wrzasku, aż nareszcie jeden się wyrwał i zawołał szyderczo: „Iciek!"

Na ten wyraz rozśmiała się cała kompania. Gdy się znowu cokolwiek uciszyło, zawołał tenże sam głos powtórnie:

— Czyś ty Iciek?

I znowu powstał przeraźliwy śmiech; wszyscy zwrócili oczy na osobę, której się te urągania tyczyły, a która spokojnie przy stole siedziała i zdawała się wcale nie zważać na tak bezwstydne prześladowanie.

Powierzchowność tegoż wędrownego była w istocie cokolwieczek śmieszna, a twarz okazywała, iż należał do starozakonnych, co właśnie było powodem, iż rozweseleni i rozhukani hulacze tak nielitościwie z niego drwinkowali. Na nowo zaczął ten sam głos do niego:

Ićku, jak daleko mamy ztąd do Jerycho?

To w żydowskim dyalekcie uczynione zapytanie, dopięło swego zamiaru, gdyż cała kompania podniosła najwrzaskliwszy śmiech.

Izraelita widząc, iż się w złem znajduje towarzystwie, podniósł się ze swego miejsca, wziął kij i tłomok i chciał się ztamtąd zupełnie oddalić.

Wtem stanął przed nim jeden z owych rozpustników i rzekł:

— Ićku, zostań tu! gdzież pójdziesz podczas tej ciemnej nocy? możemy tu z sobą poszachrować; zostań tu!

Żydek nie wiedział co robić, dał się jednak namówić, udał się znowu na dawne swe miejsce, usiadł i nie wyrzekł ani słowa.

Ludwik patrzał na wszystko, serce pękało mu od bólu, widząc nielitość, zatwardziałość i najniegodziwszą rozpustę tych ludzi.

Nażartowawszy jeszcze nie mało z biednego Izraelity, aż tu nakoniec między ową kompanią powstał szmer ogromny. Jednemu z gości zginęła fajka. Ten porwawszy się z miejsca, zaczął tego i owego posądzać o kradzież. Każdy uniewiniał się jak mógł, nikt z nich tak szkaradnej nie popełnił zbrodni. Aż nareszcie przypomniano sobie znowu owego Izraelitę i dosyć wyraźnie wykrzykiwano, że u niego skradziona fajka znajdować się musi, twierdząc bezzasadnie, iż żydzi są złodziejami, albo przynajmniej rzadko poczciwego znajdziemy żyda.

Ledwie obwiniony zaczął się uniewiniać i wszelkie od siebie oddalać podejrzenie, — już jeden z niegodziwych wyciągnął fajkę z kieszeni surduta biednego Izraelity. Na ten widok powstali wszyscy i otoczyli żyda, zrobił się zaraz ogromny hałas i żyd został o kradzież publicznie obwiniony. Biedny ten człowiek zaklinał się, przysięgał, że nie wie, jakim sposobem do tej fajki przyszedł, i że nawet nie myśli, aby się miał kiedy podobnego dopuścić uczynku.

Bez wątpienia musiał mu ktoś z rozpusty włożyć fajkę do kieszeni.

— Nadaremnie się tłumaczysz, próżne twe wymówki, krzyknął jeden przez drugiego:

— Ićku! ukradłeś fajkę, złodziejem jesteś. Ićku!

Ten, który się zdawał całą dowodzić kompanią, posunął się z za stołu do biednego Izraelity i szyderczym rzekł do niego głosem:

— Ićku, ponieważ oczywistym jesteś złodziejem, trzeba cię za tę zbrodnię ukarać, i więc wkładamy na cię karę, że masz zapłacić wszystko, cośmy tu napili. Otwórz twój woreczek i pokaż pieniądze!

— Brawo! — krzyknęli wszyscy.

Żyd nie pokazując chęci, aby tak bezczelnemu żądaniu zadosyć uczynił, był w niebezpieczeństwie najnieprzyjemniejszego obejścia się z nim, gdyż już uchwycono go za ramię i chciano mu gwałtem wydrzeć tłomok, gdzie, jak się dorozumie-

wano, pieniądze być musiały.

— Stój, nikczemniku i bezwstydny człowieku! — zawołał Ludwik; za długo przypatrywałem się rozpuście i złości waszej; nauczę was obyczaju, jak się z podróżnymi obchodzić powinniście; odkryję podłość waszę, iż zdzieracie z ubogiego i drwinkujecie sobie z niego i religii jego; naśmiewacie się z ułożenia ciała jego i twarzy, a przecież jest bliźnim waszym, którego kochać i szanować winniście, jak siebie samych; czyliż w nim nie obrażacie Boga, który nas wszystkich stworzył na obraz i podobieństwo swoje?

Ledwie tych słów dokończył, wydarł tłomok z ręki nikczemnika i oddał go, do kogo należał. Trzymając młotek w ręku, rzekł dalej do wszystkich:

— Ten mieć będzie ze mną do czynienia, który się odważy, temu podróżnemu najmniejszą wyrządzić krzywdę.

A twarz gniewem rozpalona jasno przemawiała, iż słowa rzeczone pochodziły z głębi duszy, które w razie przeciwnym swą dzielną dłonią poprzeć był gotów.

Zatrwożeni temi słowy hulacze, uspokoili się w prawdzie, lecz po chwili poczęli szemrać i byłoby przyszło niezawodnie do walki, gdyby właśnie kilku urzędników policyi nie weszło do szynkowni, którzy natychmiast przywrócili spokojność i położyli koniec krzywdzeniu wędrownego Izraelity. Ludwik czuł w ciszy serca swego niewypowiedziane ukontentowanie i dziękował Bogu, iż mowa jego tak niespodziewany wywarła wpływ na tychże rozpustników, i że się rzecz załatwiła bez dalszych zaburzeń i kłótni.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Jusuf, żyd.

— Jakżem ci wdzięczny, dobry towarzyszu, — rzekł Jusuf żyd do Ludwika, gdy drugiego dnia rano obaj razem puścili się w drogę; — byłem wczoraj pomiędzy bardzo złymi ludźmi, którzy nie tylko się ze mnie naśmiewali, ale nawet wymagali, abym bez prawa i przyczyny cechę ich zapłacił; przyczem groziło mi niebezpieczeństwo, iż biedne cielsko moje mogło odebrać nie małą liczbę kułaków i sińców.

— Żadnych dzięków, — odpowiedział Ludwik, — obadwa jesteśmy wędrownikami, i już samo uczucie wskazuje nam powinność, abyśmy się w razie potrzeby wzajemnie wspierali i bronili; muszę ci jednak, miły człowieku, otwarcie powiedzieć, iż gdybyś był wczoraj więcej pokazał odwagi i siły, nie byliby owi złośliwi z tobą tak niegodziwie postępowali, i zdaje się w rzeczy samej, że wasz naród po większej części nosi na sobie cechę pewnej tchórzliwości.

— Właśnie dla tego, — rzekł Jusuf, — że jestem żydem, przyzwyczaiłem się do wszelkich prześladowań, jakich np. wczoraj znowu doświadczyłem.

— Czy chrześcianin, czy żyd, — mówił na to Ludwik — zasługuje dopóty na szacunek u swych spółludzi, dopóki nie znieważy Boga i nie upodli się jakim złym uczynkiem. Szacunek jest dobrem każdego człowieka, każdy ma prawo do niego; lecz trzeba na szacunek sobie zasłużyć, strzedz go i nawet bronić przeciw wszelkim napadom, tak jak zwykle strzeżemy wszystkiego przed napadem rozbójników i złodziei. Odwaga jest do tego najniezbędniejszym przymiotem; gdzie jej nie ma, tam upada poszanowanie, czego sam wczoraj dowiodłeś.

— Ach! — odpowiedział Jusuf, — zkądże nabrać odwagi, zkąd siły, kiedy cały nasz naród jęczy pod ciężarem najnieznośniejszych obelg, potwarzy i nawet samej pogardy? Chrześcianie już jakoby z zasady pogardzają nami, czyniąc nie raz najuszczypliwszą różnicę między chrześcianinem a wyznawcą prawa starozakonnego. Sam wyraz: „żyd", stanowi już dosyć, aby nas wyłączyć od prawa przed którem, jak z samej natury wypływa, każdy równien być powinien; ten wyraz: „żyd", wystarcza, aby nam usunąć dobrodziejstwo prawa, którego chrześcianie, tegoż samego co my stanu, tejże samej co my kategoryi, lub tegoż samego co my powołania, swobodnie zażywać mogą; nie żądamy pierwszeństwa, lecz żądamy równości i równego uwzględnienia w towarzystwie ludzkiem. Jesteśmy wyznawcami praw mojżeszowych, i zdaje mi się, iż dopóki zostaniemy wiernymi naszemu wyznaniu,

dopóty będziemy doznawali prześladowań i ujmy praw spółeczeństwa od narodów chrześciańskich, lubo prawda, iż w jednym kraju mniej, a w drugim więcej.

— Przestańmy o tem, — rzekł Ludwik; — ja jestem chrześcianinem, ty jesteś żydem; w jednym, jak się spodziewam, idziemy celu w świat, oba chcemy być szczęśliwymi. Różnica, która pomiędzy nami zachodzi, jest, iż różne mamy wskutek wychowania naszego pojęcia o religii. Ale widzisz, zgadzamy się zapewne na to, iż każda religia ma pewny wpływ na los i szczęście człowieka; od religii zawisła jedynie spokojność duszy i cierpliwe ponoszenie smutków i dolegliwości; ona wstrzymuje człowieka od upadku i zepsucia moralnego, i warto, mój miły, byśmy się też przekonali, który z nas na ostatku prawdziwie szczęśliwym mianować się może.

— Jehowa, — począł znowu Jusuf, — jest we wszystkiem, wszystkie czynności ludzkie są widome oczom jego, on obdarza człowieka niezliczonemi dobrodziejstwy, zaczem niewdzięcznikiem być trzeba, chcąc go obrazić jaką niegodziwością; przytem jest Jehowa panem srogim w sprawiedliwości swojej; sądzę więc, iż bez takiej wiary nie mógłby nikt znaleźć i ugruntować szczęścia swego na świecie.

— Mamy więc jednakie przekonanie, — rzekł na to Ludwik, — idźmy w świat i doświadczajmy, jak mocno wiara serce każdego rozgrzewa, jakie uczynki wydaje, jakiej mocy i wytrwałości udziela, aby w czasie odmian światowych być stałym jako opoka.

— Zrozumiałem cię, — powiedział Jusuf, żyd — jest tu mowa o wierze, która do prawdziwej szczęśliwości prowadzi, która jest tarczą człowieka abyśmy opływając w dostatki, nie zabijali się pychą i wyniosłością, i przeciwnie, gdy nas smutek i nędza przyciśnie, abyśmy nie tracili odwagi w ponoszeniu i nie rozpaczali.

Byliby niezawodnie dalej o tem rozmawiali, gdyby im nie był przeszkodził śpiew nadchodzących wędrownych czeladników.

Ludwik podał Jusufowi rękę i rzekł:

— Uganiajmy się obadwa razem za polepszeniem położenia naszego; bądź pewien pomocy mojej, gdy jej potrzebować będziesz. Ani ty, ani ja, nie znamy przyszłości naszej; nie wiemy, co nas spotka. Radość i smutek podzielajmy ze sobą, jako synowie jednego ojca, który jest w niebiesiech, jako dobrzy i sumienni ludzie.

Jusuf dał także Ludwikowi rękę i zgodził się na wszystko.

Tymczasem zbliżyła się owa kupa czeladników.

— Dokąd kamraci? — zawołał jeden z nadchodzących.

— W świat, — odpowiedział Ludwik.

— Szczęść Wam Boże! — rzekł jeden i drugi — i my tam idziemy; wędrujmy razem, tylko wesoło, zaśpiewajmy sobie, żeby się lepiej biegło.

Natychmiast zaczęto śpiewać pieśni wesołe, a gdy się śpiewy skończyły, zaczął jeden z drugim rozmawiać o wędrówce, o swych zamiarach, o zawiedzionej nadziei i t. d.

— Nie mamy tu czego czekać, — rzekł jeden do wszystkich, — nogi nam ledwie że nie poodpadają od ciągłego chodzenia, a ani widoku, żeby się dostać do porządnego majstra, który na dobrą patrzy robotę i umie ją ocenić i jak się należy wynagrodzić. Chwalę sobie Amerykę. W tym nowym świecie można co jeszcze rozpocząć; rzemieślników takich jak my wszędzie tam szukają i dobrze im płacą. Pobywszy tam przez czas niejaki, można sobie nie mało uzbierać pieniędzy; potem powróci się znowu do Europy, jeźli kto tego koniecznie pragnie, i tu można się zagospodarować w blizkości rodziców i krewnych. Dalej! kamraci, co mi powiecie na to?

— Nie źle mówi, — rzekł jeden i drugi, — ja biegam już szósty tydzień, a nigdzie roboty; mój woreczek od pieniędzy już tak wypróżniony, że gdybym go puścił na wodę, pływałby po niej. Co do mnie, gotów jestem udać się do Ameryki.

Po chwili namysłu postanowili wszyscy iść do tej nowej części ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

TATARZY.

(Ciąg dalszy.)

Nie będę wam ukrywał — o moi mili poddani! że zamek nasz Berszada jest mocny, że zaopatrzony jest w żywność na bardzo długo, że mamy dostateczną ilość broni i ludzi do obrony, długo więc moglibyśmy wytrzymać oblężenie, dopókąd jakie nie nadciągnęłyby posiłki, a szturmem wziąść twierdzę prawie jest niepodobieństwem; klęska więc jaka spaść może na wielką część naszego kraju, nie zdaje się nam zagrażać, ale czyliż dla tego serce nasze mniej czuje boleść, jak gdybyśmy sami stali się ofiarami nieszczęścia?

Książę zatrzymał się na chwilę, rzucił badawczem spojrzeniem po tłumie — wszędzie czoła na dół spuszczone, tu i owdzie odzywało się łkanie — tu i owdzie szeptano cichą modlitwę do Boga, o odwrócenie grozy.

— Czyż i my nieprzyjmiemy udziału w nieszczęściu, jakie zagraża tylu naszym braciom, o nie moi mili, tak nie będzie. Nieprzyjaciel jest jednak gotów zawrzeć pokój, ale czy wiecie jakich wymaga warunków od nas? oto abyśmy Berszadę oddali w ręce jego, a on zrówna ją z ziemią i zaorze miejsce, na którem stały nasze świątynie i domy — i to my! my dobrowolnie mamy się zgodzić na tę haniebną propozycyę i w oczach całego świata okryć się niesławą?

A jednakże inaczej być nie może. Tak moi przyjaciele, dla dobra kraju, dla dobra ogółu potrzebna jest zagłada Berszady, bo pokój inaczej podpisany nie będzie. Ale możemy osłodzić ten okropny cios, sami go wykonywując, a hetman uwolniony będzie od przyjęcia poniżającego warunku. Sami zapalemy Berszadę, niechaj łuna jej, oznajmi całej Polsce, że mieszkańcy jej nie wahali się ani chwili w dopełnieniu bolesnego a jednak świętego obowiązku, kto więc ma cokolwiek drogiego, co ocalić może, niechaj zabiera i wychodzi z miasta, ja sam pierwszy zapalam mój dom.

To mówiąc porwał zapaloną pochodnię z rąk hajduka i spiesznie zbliżywszy się z nią do zamku, rzucił ogień w jego komnaty.

Wszystek lud zagrzmiał jednym okrzykiem zgody, każdy pospieszył zabrać co droższe rzeczy, na wozy pakowano chorych i dzieci wynoszono sprzęty kosztowniejsze, a ogień tym czasem szerzył się z przerażającą mocą, wdzierając się na najwyższe wieże starego zamku.

Długim szeregiem wyciągnął lud ku północy, mając oświetloną drogę olbrzymią łuną.

Zobaczył ten ogień hetman Żółkiewski w obozie, domyślił się szlachetnego poświęcenia mieszkańców Berszady i ocierając łzę co mu spadła po twarzy, wyciągnął starzec drżące ręce w tę stronę i ze łzami taką wzniósł za niemi modlitwę:

— Boże Wielki! Potężny! Ty przed którego okiem nic się ukryć nie może, który znasz równie głębie serca ludzkiego, jak głębiny morskie, spojrzyj łaskawie na ten czyn szlachetny twych dzieci i pobłogosław im Panie! pobłogosław! Niechaj ten płomień i dym wznoszący się ku niebu, będzie dla Ciebie na ofiarę jak płonie na ofiarę dla dobra bliźnich! Panie — Ty jesteś dobrocią nieskończoną! Ty im to nagrodzisz.

Zaledwie stary hetman zdążył łzy otrzeć, wszedł poseł Skinder-Baszy i dumnie zapytał się czy przystaje na to, żeby Berszadę oddać Turkom dla zburzenia jej.

(Dokończenie nastąpi.)

OJCIEC KAPUCYN

CZYLI

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

Archaniół jechał bitym gościńcem aż do małej przystani przy Leryczy. Tam dopiero odbił na okręcie do Marsylii, w którem to mieście wcale nie bawił, chcąc jaknajprędzej stanąć w stolicy francuzkiej. Królowa Marya przyjęła go bardzo miłościwie. Wkrótce zjednał sobie i przychylność całego jej dworu. Kazania Archanioła były pełne powagi oraz Niebieskiej żarliwości. Starał on się szczególnie przekonać swych słuchaczów, że zamiłowanie Bozkich rzeczy i wśród blasku ziemskiego miejsce mieć może, jako też, że korona królewska nigdy wspanialej nie jaśnieje, jak kiedy się korzy przed cierniową koroną Jezusa Chrystusa. Królowa, królewny, oraz wszyscy książęta i dostojnicy dworscy słuchali kazań tak wyśmienitego mówcy z przyjemnością, i zaczęli lepiej pojmować święte prawdy swojej religii, i zaczęli częściej myślić o wyższych rzeczach.

A jakąż radością oddychał Archaniół, znalazłszy w Paryżu dawnych swych przyjaciół i czcigodnego ich rodzica! I oni równie się z takiego cieszyli spotkania i składali za tak niespodziewane szczęście najszczersze Bogu podzięki. O, nigdy nie mogli się spodziewać, że jeszcze na ziemi obcować z sobą będą! Tylko nadzieja wspólnej w niebie szczęśliwości ożywiała serca tak prawdziwych przyjaciół.

Wtedy właśnie powierzono Grzegorzowi XV całe prawowierne chrześciaństwo pod nieomylną opiekę. Tenże Ojciec Święty postanowił utworzyć nowe zgromadenie dla rozszerzania Wiary Chrystusowej. Po częstych a długich naradach obrano kardynała Ludowizyo na najstarszego zwierzchnika do ustanowienia potrzebnych w tej mierze prawideł. Zacny ten prałat pokonał swą przezornością i niepospolitem doświadczeniem wszystkie do tak chwalebnego dzieła przeszkody i podał wreszcie uzasadnione, stanowcze swe reguły pod sąd całej rady papiezkiej. A że je za doskonałe uchwalono, rozpisał Ojciec Święty po całem prawowiernem duchowieństwie Listy Apostolskie, ogłaszając światu ustanowienie „Zgromadzenia Misyonarzy." Nie zapomniał Najwyższy Pasterz na Szkocyą oka swego zwrócić, gdzie właśnie śród mężów, uznanych za zdatnych do tworzenia misyi, znajdował się i Archaniół. Dowiedziawszy się Papież o powodach Archanioła do przyjęcia Wiary Katolickiej oraz, że nawrócił Barona Torey, i podziwiając w tymże zakonniku nadzwyczajną gorliwość w doskonaleniu samego siebie i innych, — uczuł w swem sercu radość nadziemską i wybrał kaznodzieję Królowej Francuzkiej z natchnieniem Ducha Swiętego na zwierzchnika misyi. Wygotowawszy dla niego potrzebne w tym względzie upoważnienie, posłał mu je do Paryża i zalecił wyraźnie, aby szególnie w Anglii i Szkocyi nauczał.

Przeczytawszy te pisma Archaniół, ucieszył się wysoko, oraz przypomniał sobie mądre rady Ojca Gwardyana, który mu zawsze w modlitwie szukać kazał pociechy, a z resztą zdać się na Wolę Bozką. Nie omyliła go przepowiednia doświadczonego starca. Wszystko Bóg na dobre obrócił. Nadzieja nawrócenia swej matki była dla Archanioła tak dobrze, jak urzeczywistniona. Pokazawszy królowej upoważnienie Apostolskie, prosił ją uniżenie o potrzebną do

takiego przedsięwzięcia pomoc najmiłościwszą. Właśnie bawił w Paryżu poseł Hiszpański jadący w imieniu króla swego do Anglii, aby przez związek małżeński dwie korony połączyć. Tenże poseł będąc nie biegły w języku angielskim, starał się o doskonałego w tym względzie tłumacza. Królowa Francuzka radziła mu wybrać Archanioła. Usłyszawszy Hiszpan o zaletach duszy zakonnika, oraz o jego wysokiem urodzeniu, przyjął go z radością na wyręczyciela w języku angielskim. A że Papież dla tem większego ułatwienia postępów misyonarzy uwolnił Archanioła od sukienki zakonniczej, przyniesiono ubiór kosztowny i ubrano go jako kawalera.

Z początku uczuł Archanioł pewną niechęć przeciw takowej przemianie. Złożenie grubego habitu dla ubrania się w bogate szaty zdawało mu się być wykroczeniem przeciw regułom stanu już raz wybranego. Lecz być posłusznym było jego powinnością. Uległ więc woli Ojca świętego bez szemrania. Wkrótce wyjechał z posłem do Anglii. Ubolewała nad tą stratą królowa Marya; lecz rozważywszy, jaki pożytek dla Kościoła Archanioł przyniesie i jak przyjemnie życzenie Pasterza wszech prawowiernych zadowoliła, zaczęła się rozpływać w najwyższej, niewinnej rozkoszy.

Po upływie kilku dni stanęli nasi podróżni w Londynie. Żadna przygoda nie zasmuciła ich w drodze. Będąc Archanioł tak blizkim celu swoich życzeń, poczytywał się za co raz szczęśliwszego. We dnie czynił zadosyć obowiąskom swego posłannictwa a noc poświęcał po części bogomyślności i modlitwie. Całe godziny klęczał przed wizerunkiem naszego zbawienia i szukał w rozpamiętywaniu męki i śmierci Jezusa — pociechy. Ach, jakże często ubolewał, że musiał być uczestnikiem przepychu i blasku dworu Angielskiego!

Pomimo tak wielostronnych zatrudnień przecie nie zapomniał o matce swojej. Ciągle ją w duchu widywał. Ile razy rozmawiał ze znakomitym jakim podróżnym ze Szkocyi, zawsze zwracał tok mowy na wywiadywanie się o swojej familii. Lecz tak umiejętnie sobie przytem postępował, że nikt nie mógł odgadnąć, że on sam do tegóż należy domu. Nie raz więc opisywano mu zmartwienie Baronowej Torey; nie raz musiał słyszeć potwarze, miotane na drugiego jej syna, że mając jej przywrócić potomka po pierwszym mężu, sam się dał niby uwieść mnichowskim podstępom. A na zapytanie, kto był tenże starszy syn i czemużby się oddalił od matki, odpowiadano z pogardą:

— Grzegórz było mu na imie a ojciec jego był to hrabia Lesley, który miał za żonę teraźniejszą Baronową Torey.

— Hrabia Lesley jednego tylko po sobie zostawił dziedzica, lecz ten, ówże sam Grzegórz, porzuciwszy wprzód Wiarę swych rodziców i skalawszy się przesądami „papieżników" upodlił się jeszcze tak dalece, że we Włoszech kapucynem został i że tam z wyrzutem spółeczeństwa, to jest z „obrzydłymi mnichami" chleba żebrze.

Tak się wyrażali Szkoccy kacerze o Ojcu Archaniele, lecz taka pogarda nie obrażała go bynajmniej. Zasmucił się przecie mocno, usłyszawszy przy podobnej sposnoności o oddaleniu Edwarda z domu rodzicielskiego. Dowiadywał się odtąd o niego i postanowił go do Londynu zaprosić, skoroby tylko wiedział z pewnością, gdzie się znajduje. Wreszcie dopytał się o miejscu pobytu Edwarda i doniósł mu, że obecnie bawi w stolicy jako tłumacz przy pośle Hiszpańskim i oraz jako najwyższy zwierzchnik zgromadzenia do opowiadania w Anglii i Szkocyi Wiary katolickiej. Równocześnie prosił go, aby jak najspieszniej przybywał i pomógł mu najlepsze wybrać środki do uskutecznienia tak chwalebnych zamiarów. Przeczytawszy list Edward, puścił się natychmiast w drogę. O jakże różne było powitanie w Londynie od spotkania się w klasztorze kapucyńskim. W ów czas nie wiedział jeszcze Archanioł, że Baron Torey bratem jest jego! Wtedy jeszcze przedzielała ich Wiara. Teraz zaś łączyły ich węzły jak najściślejsze! Teraz ściskają, całują się z całego serca i ledwie są zdolni pojąć wielkość swojej radości! Podziwiał Archanioł odwagę i siłę Grzegorza, okazaną w cierpliwem znoszeniu surowości i prześladowania za wierne zachowywanie Wiary nowo przyjętej. Edward zaś dziwował się śmiałości brata swojego, że tenże nie zważając na niebezpieczeństwa, mógł przybyć pomiędzy swych nieprzyjaciół, i to jeszcze w myśli nawrócenia ich do Kościoła Chrystusowego! Jakże łatwo mógł zostać poznanym a jakież go w tym razie czekały prześladowania! — Nie pojmowal także z początku Baron To-

rey, jak się brat jego mógł dać nakłonić do zewleczenia sukienki, którą sobie wybrał z taką gorliwością a w której był najszczęśliwszym. Porozumiawszy się z sobą względem srodków do przyspieszenia chwili, kiedyby ich jedyne życzenie zostało uiszczone, postanowili, co czynić było potrzeba.

— Lecz muszę ja jeszcze pozostać w Londynie, — rzekł przy końcu rozmowy Archaniół. — Dopóki poseł Hiszpański przy tutejszym dworze pobawi, dopóty wyruszyć z tego miasta nie mogę. Sumienie by mnie obwiniało, gdybym w ostatnich chwilach nie chciał tak ważnej sprawy wspierać swoją przysługą. Dwór Hiszpański wyznaje Wiarę katolicką. Związki z nim małżeńskie mogłyby na Anglią wywrzeć wpływ najpomyślniejszy. Sądze, że tak sprawiedliwe względy nie sprzeciwiają się wyrokom Bozkim.

Tu grożąc lekko bratu Edward rzekł doń z uśmiechem:

— Nie zapomnijże, Bracie Archaniele, o habicie i pasku Świętego Franciszka! Świetne te szaty i ta tam szpadka przy boku mogłyby Cię zbyt łatwo swym blaskiem ułudzić.

Rozśmiawszy się z tego Archaniół, rzekł z widoczną szczerością:

— Bądź pewny, kochany Bracie, że świetne te szaty i ta szpada przy boku są dla mnie prawdziwie ciężarem. Daleko lżej, daleko radośniej oddychałbym, gdyby mą postać gruba sukienka założyciela naszego zakonu pokrywała!

Bawiąc Edward przez kilka dni u brata, opisał mu gniew swej matki za niepomyślne dla niej wypełnienie swego do Włoch posłanictwa. Opowiedział mu także, iż go za to od siebie oddalila. O, jakże zakrwawił serce Archanioła, uskarżając się przed nim, iż nawet nie chciała zezwolić, aby ją pożegnał w chwili, kiedy opuszczał zamek Aberdyn, ach, może na zawsze! Słodko im było, udzielać sobie wzajemnie swe myśli, lecz chwila rozstania wybiła. Pełen pociechy i nadziei, oraz serdecznej wdzięczności ku Bogu, uściskał Edward Archanioła i odjechał z powrotem do Szkocyi.

ROZDIAŁ DZIESIĄTY.

I Baronowa Torey zamek Aberdyn opuściła. Nie mogłać przemieszkiwać dłużej na miejscu, gdzie tyle dolegliwości doznała. Zamek Monomusko, należący dawniej do jej męża, Jakóba hrabiego Lesley, obrała teraz na zamieszkanie. Lecz i tu żyła w smutku nieopisanym. Usiłował ją pocieszać syn jej najmłodszy oraz z żoną swoją, którą przed niedawnym dopiero czasem był pojął, lecz wszystko było napróżno!

Pewnego dnia siedząc sobie ze synową przy haftowaniu przecudnej robotki, rozmawiały ze sobą o smutnej przeszłości. Wtem wszedł do pokoju sługa i oznajmił, iż jakiś nieznajomy pan życzy sobie mówić z Baronową. Kazawszy mu dać przystęp, wstała i poszła do gościnnego pokoju.

Wkrótce otworzyły się podwoje, a przystojny mężczyzna stanął przed panią zamku Monomusko. Ukłoniwszy się z przyzwoitem uszanowaniem przemówił głosem przyjemnym, mówiąc:

— Składam hołdy Jaśnie Wielmożnej Pani! Przybywam ja z Włoch i mam tu do Pani list od Jej syna Grzegorza.

Te słowa przeraziły Baronową. Drżącą więc ręką rozłamała pieczęć i zaczęła czytać, jak następuje:

Jaśnie Wielmożna Baronowa
a
Moja Szanowna Matko!

Korzystając z tak dogodnej sposobności, wyrażam swą najpowinniejszą czołobitność dla Tej, dla której mię największa obowięzuje wdzięczność. Równocześnie odważam się prosić o najłaskawsze przyjęcie oddawcy listu tego w gościnne swe progi. Opowie on najlepiej o tym, który nigdy nie przestanie być

drogiej Matki swojej
kochającym i wdzięcznym
synem
G r z e g o r z e m.

Uważał Archaniół za rzecz potrzebną, podpisać się tylko chrzestnem imieniem. Inaczej bowiem rozgniewałby był matkę swoję, co wszystko klasztorne nienawidziła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1804 zbadano też po pierwszy raz dokładnie całą przestrzeń leżącą pomiędzy rzeką Mississippi i morzem spokojnem. W tym roku odbyły się znów wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jefferson i Jerzy Clinton, federaliści, zostali wybrani większością głosów.

Były wiceprezydent Aaron Burr rozpoczął tymczasem na zachodzie wielką agotacyę i przysposabiał ekspedycyę; jedni mówili dla oderwania zachodniej części Stanów Zjednoczonych — drudzy dla napadu na Meksyk. Zabiegi jego wydały się atoli, i aresztowano go za zdradę stanu. Nie można było mu udowodnić, iż chciał zaszkodzić rzeczypospolitej i dla tego puszczono go na wolność.

Rok 1807 jest pamiętnym w historyi Stanów Zjednoczonych z powodu zaprowadzenia żeglugi parowej. Wprowadził ją w życie Robert Fulton, urodzony w Pennsylvanii. Parowce pływają dzisiaj po wszystkich morzach i rzekach.

Bieg wypadków w Europie począł obecnie psuć przyjazne stosunki, które istniały od czasu traktatu zawartego przez Jay'a pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Napoleon był wtenczas cesarzem francuzkim. W r. 1806 zamianował się sam także królem Włoch, a bracia jego dzierżyli berła innych państw. Stał na szczycie swej sławy a wielka część Europy była przez niego upokorzoną. Podczas wojen jego zachowały St. Zjedn. zupełną neutralność, lecz Anglia i Francya poczęły zarówno szkodzić handlowi Stanów Zjedn. Anglia bowiem zablokowała całe wybrzeże europejskie od Elby w Niemczech aż do Brest w Francyi, Napoleon zaś oznajmił, że wszystkie porty angielskie są zablokowane. Wskutek tego chwytały angielskie i francuzkie wojenne okręty statki amerykańskie udające się do portów europejskich, na których blokada ciężyła; flota wojenna amerykańska była za słabą, aby mogła obronić własność kupców i obywateli amerykańskich. Obywatele Stanów Zjedn. byli zwłaszcza oburzeni przeciw Anglikom, którzy taki stan rzeczy wywołali i oprócz tego szukali na każdym okręcie amerykańskim, jaki napotykali, zbiegów angielskich.

Stało się, że angielski okręt „Melampus" zażądał od amerykańskiego statku Chesapeaki wydania czterech majtków, którzy podobno byli zbiegami. Kapitan amerykański nie chciał tego uczynić, a gdy nazajutrz wypłynął z portu zaczepiła go fregata angielska. Po utracie 3 zabitych i 18 rannych kapitan statku amerykańskiego, czując się za słabym, oddał owych czterech majtków, z których jak się okazało, jeden tylko był zbiegiem.

Zdarzenie to wzburzyło jeszcze bardziej lud amerykański, który żądał koniecznie wojny. Jefferson atoli wydał tylko proklamacyę, w której oznajmił, że wszystkie statki angielskie mają się wynosić z wód amerykańskich, dopóką sprawa ta nie zostanie załatwioną i Anglia nie da rękojmi, że podobne przypadki już się nie wydarzą. Anglia wynagrodziła familiom zabitych dopiero w r. 1811.

Jefferson widząc, że Anglia i Francya coraz więcej szkodzą narodowi, zwołał w dniu 20 paźdz. 1807 kongres przed czasem zwyczajnej sesyi, na którym skłonił go do wydania proklamacyi, na mocy której porty amerykańskie zostały zamknięte dla wszystkich narodów wojujących i okręty w portach zagranicznych się znajdujące, zostały odwołane do domu. Proklamacya ta została odwołaną dopiero w dniu 1 marca 1809.

Tymczasem nadszedł znów czas wyborów, z których wyszedł zwycięzko James Madison, wierny zwolennik zasad Jeffersona, który po 8 letniem urzędowaniu w dniu 4 marca 1809 r. złożył swój urząd i udał się do Monticello, swej włości w Virginii.

ROZDZIAŁ IV.

Administracya Madisona (1809–1817.)

Nie bardzo dobrze stały sprawy kraju, gdy James Madison, czwarty prezydent, objął administracyę Stanów Zjedn. Zastój dał się czuć w handlu, w przemyśle, rólnictwie—w ogóle panowała wszędzie bieda. Madison był człowiekiem dobrym i rzetelnym, który zaraz w początku swych zarządów umiał sobie zjednać sympatyę nawet swoich przeciwników.

Starcia między Stanami Zjednoczonymi i Anglią wydarzały się wciąż jeszcze; na czas niejakiś zerwano nawet stosunki polityczne. Napoleon zaś okazywał się jeszcze gorszym jak rząd angielski, bo ogłosił, że wszystkie okręty amerykańskie, które od 10 marca 1810 przybyły do portów francuzkich lub miały jeszcze przybyć, zostaną skonfiskowane, przez co obywatele amerykańscy utracili wiele statków, za które później tylko częściowo wynagrodzeni zostali.

Pomiędzy pewnym statkiem wojennym angielskim i fregatą amerykańską przyszło w dniu 16 maja 1811 roku z powodu zabierania przez pierwszy mniejszych statków amerykańskich do krwawego starcia, w którem pierwsi utracili 11 w zabitych i 21 rannych. Podobne mniejsze starcia wydarzały się dość często. Lud się niecierpliwił i żądał wojny z Anglią pomimo iż ta posiadała 900 okrętów z 144,000 marynarzami, a Stany Zjednoczone tylko 12 większych okrętów z 300 armatami. Lud żądał koniecznie zmiany, bo bieda szerzyła się coraz bardziej.

Widziano już od kilku lat, że wojna jest nieuniknioną, a wypadki 1811 roku przyspieszyły ją. W tym roku bowiem zbuntowali się Indyanie, którzy także cierpieli z powodu zastoju handlu, gdyż nie mogli sprzedawać skór i futer — zresztą parli ich osadnicy coraz bardziej na zachód. Do buntu zostali zresztą podburzeni przez agentów angielskich. Za radą naczelnika Tecumtah i brata jego, którego nazwano „Prorokiem" zawarły koalicyą plemiona: Delaware, Shawnee, Miamie, Kiskapos, Winnebago i Chippewa i poczęli tak niepokoić osadników, że Harrison, gubernator ówczesnego terytoryum Indiana, zebrał znaczny oddział i uderzył nad ranem 6 listopada na zgromadzone ich siły, właśnie gdy Indyanie zamierzali napaść na obóz amerykański. Krwawa bitwa ukończyła się na korzyść Amerykanów, którzy atoli utracili przeszło 60 w zabitych i mieli 100 rannych.

Wypadki te podburzyły lud amerykański do ostateczności. Prezydent i kongres nie mogli już dłużej woli jego się oprzeć i dla tego wypowiedziały Stany Zjednoczone Anglii wojnę w dniu 19 czerwca 1812 r. Wojna ta jest znana pod nazwą „wojna r. 1812" czyli „druga wojna o niepodległość".

Zaraz po proklamacyi poczęto się przysposabiać do wojny. Armia miała liczyć 25,000 regularnego żołnierza, 50,000 wolontaryuszów i 100,000 milicyi. 15 milionów dolarów przeznaczono na wojsko, trzy miliony na flotę. Najpierwszem staraniem rządu było wystarać się o dobrych oficerów, bo ci, którzy służyli w wojnie rewolucyjnej, nie żyli już, lub byli za starymi do służby, a jednak powierzono tym ostatnim główne naczelnictwo.

Jenerał brygady Hull idący z oddziałem dwutysięcznym przeciw Indyanom, dostał rozkaz wkroczenia do Canady, jeżeliby mógł. W dniu 12 lipca przebył rzekę Detroit chcąc uderzyć na Fort Malden, dzisiejszą wioskę Amherst. Lecz przez długie ociąganie utracił wszelką możliwość uzyskania korzyści, bo Anglicy i Indyanie uderzyli w dniu 17 lipca 1812 na Fort Mackinaw, jednę z najsilniejszych pozycyj na północnym zachodzie i zdobyli tę warownię. Oddział, który Hull wysłał, jako eskortę żywności, został pobity pod Brownstown; — Hull usłyszawszy o tem, wrócił się i pozostał w Detroit, pomimo iż ludzie jego radzi chcieli uderzyć na nieprzyjaciela.

W dniu 9 sierpnia przebył jen. Brock rzekę Detroit, mając ze sobą 700 Anglików i 600 Indyan i zażądał oddania mu w ręce miasta Detroit. Jakież to było zadziwienie Anglików nawet, gdy Hull bez wszystkiego kapitulował i Detroit Anglikom oddał. W tym samym czasie został także zniesiony przez Indyan mały oddział kapitana Heald, spieszący na pomoc Hullowi. Można sobie wyobrazić, że wiadomość o tych klęskach wywołała niepokój pomiędzy ludnością.

Pomiędzy ludnością było tymczasem wielu takich, którzy nie życzyli sobie wojny; gubernatorowie stanów Vermont, Massachusetts i Connecticut nie chcieli stawić milicyi i była nawet mowa o

tem, aby się znów przyłączyć do Anglii. Lecz pomimo zabiegów nieprzyjacielskich postanowił rząd wkroczyć do Canady. Pierwszy krok nieprzyjacielski został przedsięwzięty w jesieni. W dniu 13 października 1812 przekroczył pułkownik Solomon Van Rens Maer z 250 ludzi rzekę Niagara i uderzył na nieprzyjaciela w pobliżu Lewiston, lecz został zaraz na początku walki ciężko raniony. Lecz kapitanowie Wood i Ogilvie objęli dowództwo i zajęli bateryе angielskie w Queenstown. Zwycięztwo atoli nie było jeszcze zupełnem, bo nadszedł angielski jen. Brock w 600 ludzi i uderzył na Amerykanów, utracił jednakże życie, a oddział jego został pobity. Jen. Stephen Van Rensselaer tymczasem wrócił do Lewiston po posiłki dla Amerykanów, lecz zgromadził zaledwie tysiąc ludzi, którzy chcieli przebyć razem z nim rzekę. Ci zostali pobici przez świeży oddział Anglików i Indyan na wybrzeżu, a wielu z nich zostało wziętych w niewolę, podczas gdy 1500 ich braci stało na drugiem wybrzeżu. Aby się wytłómaczyć, oświadczyli ci, że uważając wojnę za oporną tylko, a nie zaczepną, nie chcieli wkroczyć do kraju nieprzyjacielskiego. Rensselaer widząc to postępowanie, utracił otuchę i podał się do dymisyi; miejsce jego zajął jen. Smyth, który podczas całej jesieni nic nie uczynił.

Flota amerykańska zaś, choć tylko liczyła 20 statków wojennych, a angielska 1060, dokazywała cudów waleczności. W dniu 19 sierpnia 1812 stoczyła Constitution, fregata Stan. Zjedn., z angielską fregatą Guerrien, walkę, w której po upływie 40 minut komendant angielski widział się zmuszonym do poddania. W dniu 18 października zabrała amerykańska szalupa Wasp brigantynę angielską Frolie po 45 minutowej walce. Z 84 Anglików pozostało tylko trzech oficerów i jeden majtek, Amerykanie utracili 10 ludzi. W dniu 25 paźdz. stoczyła amer. fregata „United States" walkę z ang. fregatą „Macedonian" na zachód wysp kanaryjskich. Anglicy utraciwszy przeszło 100 ludzi poddali się. Amerykanie mieli pięciu zabitych i 7 rannych. W dniu 29 grudnia odniosła znów fregata „Constitution" zwycięztwo w pobliżu wybrzeża Brazylii nad ang. fregatą „Java". Przeszło 200 Anglików poległo, a statek ich został tak poniszczony, iż było trzeba go spalić. Nie trzeba wspominać o mniejszych zwycięztwach — dość, że Amerykanie w przeciągu r. 1812 zabrali Anglikom 50 statków wojennych i 250 kupieckich, i wzięli w niewolę przeszło 300 marynarzy.

Tymczasem nadszedł znów czas wyborów, a lud zadowolony z Madisona wybrał go powtórnie; Elbridge Gerry otrzymał wiceprezydenturę.

ROZDZIAŁ V.

Druga wojna o niepodległość (1813).

Porażka Hull'a pobudziła ludność do większej czynności. Zewsząd nadciągali wolontaryusze tak licznie, że Harrison widział się zmuszonym zakazać przyjmowania więcej ludzi do szeregów. Entuzyazm był tak wielkim, że pomimo zimy domagano się rozpoczęcia nowej kampanii. Armia zachodnia pod Harrisonem zgromadzała się nad zachodniem wybrzeżem jeziora Erie, środkowa pod Dearborn'em nad rzeką Niagara, północna pod jen. Hampton nad jeziorem Champlain.

W dniu 10 stycznia 1813 dowiedział się jen. Winchester nadchodzący z Kentucky z 800 ludźmi, że oddział Anglików i Indyan znajduje się w Frenchtown, 25 mil na zachód Detroit'u. Winchester wysłał do tej miejscowości część swych ludzi, którzy oddział angielski wypędzili. Winchester połączył się z nimi w dniu następnym. Prostor, jen angielski, dowiedziawszy się o tem, przybył z 1500 Anglikami i Indyanami i zmusił Amerykanów po krwawej potyczce do poddania się. Pomimo, iż zabezpieczono więźniom bezpieczeństwo, Indyanie zamordowali wszystkich rannych, zdzierając im podług swego zwyczaju skórkę z czaszki. Prostor słysząc, że Harrison ze swą armią nadciąga, cofnął się natychmiast do Malden, co usłyszawszy Harrison, który po klęsce pod Frenchtown się zatrzymał nad rzeką Maumee, postąpił nad rzekę Miami i wybudował warownię Fort Meiggs, którą w pięć tygodni potem jen. Prostor obległ, lecz się widział zmuszonym do odwrotu do Malden, gdyż sprzymierzeńcy indyańscy go opuścili. Podczas oblężenia utracili Amerykanie 81 ludzi w zabitych a 189 było rannych. Przez kilka tygodni potem nie rozpoczynano żadnych kroków nieprzyjacielskich, gdyż Anglia rozpoczęła rokowania o pokój lub też o zawieszenie broni.

W dniu 21 lipca 1813 przybył Prostor na czele 4000 Anglików i Indyan znów pod Fort Meiggs, gdzie teraz dowodził jen. Cley; widząc, że Amerykanie się nie chcą poddać, pozostawił tu większą część oddziału pod naczelnictwem Indyanina Ticumtah, a sam na czele 500 żołnierza i 800 Indyan udał się do Fort Stephenson (Sandusky), gdzie się znajdował major Croyhan z 150 ludźmi. Przy szturmie na tę warownię utracili Anglicy 150 ludzi, podczas gdy Amerykanie mieli 1 zabitego i 7 rannych. Prostor i Tecumtah przekonani, że nie zdobędą zachodnich warowni, wrócili do Detroit.

(Dalszy ciąg nastąpi.)